

Juliusz Yulo Rafeld

Podwójny bief



Juliusz Yulo Rafeld

Podwójny blef

Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2015

Juliusz Yulo Rafeld

„Podwójny blef”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o. o.
2015

Copyright © by Juliusz Yulo Rafeld 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok

Projekt okładki: Juliusz Rafeld

Zdjęcie okładki © Katarzyna Bekier

Autor zrezygnował z profesjonalnej korekty wydawnictwa

ISBN: 978-83-7900-359-4

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.

ul. Chopina 9, pok. 23 , 62-507 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 665-955-131

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

No problem

I.

Nie liczył co prawda jeszcze tym razem dokładnego czasu, lecz odniósł wrażenie, że dobiegł do punktu zwrotnego swojej trasy mniej więcej w tempie porównywalnym z wynikiem uzyskiwanym dawniej, czyli jeszcze trzy miesiące temu.

Dookoła było pusto; w ten rejon podmiejskiego lasku zapuszczali się tylko grzybiarze, ale wczesny kwiecień to jeszcze było zdecydowanie za wcześnie na nich. Zadowolony z tego, rozpoczął stałą serię ćwiczeń gimnastycznych. Po trzydziestu minutach nieprzerwanych zmaganiń odpoczął chwilę, aby wkrótce ruszyć w drogę powrotną. Kątem oka zauważył nieznaczny ruch za oddalonymi o kilkadziesiąt metrów krzewami, przyjrzał się im uważniej, lecz nie dostrzegł nic szczególnego. Możliwe, że jednak ktoś się przechadzał po lesie. Generalnie nie przeszkadzało mu okazjonalne towarzystwo; w końcu zaprawa fizyczna to już dość powszechne zjawisko i poruszający się żwawo postawny czterdziestolatek nie powinien wywoływać sensacji.

Biegł tym razem nieco spokojniej, na przyspieszenie będzie czas przed samym końcem, czyli gdzieś za trzy, cztery kilometry. Leśna ścieżka wiła się niezmiennie od lat tak samo. Nie używał jednak tej trasy regularnie. Gdy był na miejscu, dzielił czas pomiędzy teren, dwa razy w tygodniu, oraz salę gimnastyczną, raz na tydzień. Sala to głównie siatkówka

w gronie niezmordowanych zapaleńców, do których przyłączył się przed kilku laty. Przerwy w tym stałym rytmie następowały, gdy zmuszony był okresowo opuszczać miejsce zamieszkania, by wykonać przydzielone zadania. Wyjazdy bywały z reguły dalsze, trwające od kilku dni do kilku miesięcy. Zaś utrzymywanie doskonałej kondycji fizycznej było wpisane w jego zawodowe wymagania.

Dokładniej biorąc, było wpisane dawniej. Obecnie nie stanowiło bezwzględnego wymogu; działało już tylko przyzwyczajenie oraz wewnętrzne zadowolenie z poczucia odzyskanej sprawności. Proces ten zajął mu kilka ostatnich miesięcy. Biegając swobodnie i podskakując czasami do zwisających gałęzi, coraz bardziej czuł, że okres rekonwalescencji dobiega definitywnie końca. A znowu dokładniej biorąc, na razie rekonwalescencji fizycznej.

Zbliżył się powoli do pierwszych zabudowań miasta, jeszcze tylko przez wiadukt nad torami kolejowymi i ostatnie kilkaset metrów do niedużego bloku w małym, ogrodzonym osiedlu. Teraz czekał go prysznic, jakaś przekąska i...

Pomyślał, że tego dnia już nic go specjalnego nie czeka i przypomniało mu się, kolejny raz, że kiedyś zaledwie kilka godzin bez zajęcia wydawało się dłużyć w nieskończoność. Pomyślał też, że chyba jeszcze to nie jest ten dzień, który sobie wyznaczył na dokończenie rozrachunku ze sobą samym. Tak, to jeszcze nie ten dzień. Który to już raz?

Zlecenie

W połowie drogi powrotnej skręcił na chwilę na pobocze, aby ominąć dostawczego busa z logo piekarni „Twój chlebek”. Apetyczna nazwa – pomyślał uśmiechając się do siebie.

Auto skręcało właśnie w otwartą bramę, kierując się najwyraźniej na podjazd przed parterowym, magazynowym budynkiem. Artur wrócił na poprzedni trakt i biegł dalej. Po chwili przypomniał sobie, że już kilkakrotnie zdarzyło mu się spotkać busa na swej drodze, choć w innych miejscach. No tak, ale przecież nie wychodził z domu zawsze dokładnie o tej samej porze – zdarzało się minutę lub dwie wcześniej lub później.

Zaintrygowało go nagle, co dostawca pieczywa porabia na takim odludziu o siódmej rano, jako że w pobliżu nie było żadnego spożywczaka. Najbliższy znajdował się dobre dwa kilometry dalej, przy skrzyżowaniu z bardziej przelotową ulicą osiedla. Trasa, którą biegł, jego ulica – choć była nią tylko z nazwy, zwykła gruntówka – okalała niewielkie osiedle nowych bloków na samym skraju miasta.

Wiedziony impulsem Artur zawrócił i po kilkudziesięciu metrach minął bramę i widocznego w podwórzu busa. Właśnie wyładowywano z niego plastikowe kontenerki z chlebem. Ki diabeł – pomyślał. Tyle chleba dla domowników? Postanowił okrążyć posesję i skręcił w najbliższą, jeszcze drobniejszą przecnicę. Sto metrów dalej ponownie skręcił w prawo i stwierdził, że znalazł się po drugiej stronie obserwowanej

posesji. Dokładniej, na jej froncie, do którego wiodła podwójna furtka i szeroki, wybrukowany podjazd, z kilkoma drewnianymi stołami o krzyżujących się nogach i ławami po obu stronach. W oczy rzuciła mu się tablica umieszczona nad wejściem do piętrowego budynku. Napis głosił, że jest to prywatny przybytek dobroczynny, a mianowicie jadłodajnia dla bezdomnych i ubogich. Później, biegnąc już w kierunku swego domu, czyli wygodnego mieszkania w nowym budynku, przypomniał sobie, że czasami udając się koło południa ze swego osiedla do miasta, widywał niewielkie grupki pieszych w okolicy przystanku autobusowego, najwyraźniej zmierzających w kierunku tego nowo odkrytego przybytku.

Dotarł wkrótce do mieszkania i wziął prysznic. Wreszcie wszystko działało jak należy. Ale zajęło dwa tygodnie, zanim wyregulowano wszystkie instalacje. Oprócz tego gotowa była też cała reszta wyposażenia, które urządził już sam, zakrywając surowy stan otrzymany od dewelopera. Kamień i drewno – te ulubione elementy dominowały w mieszkaniu. No, może nie całkiem dosłownie, ale tapeta znakomicie imitowała kamienne wykończenie. Panele i meble w naturalnym kolorze dębu wyszły dokładnie tak jak zaplanował. A tego dnia czekała go jeszcze jedna przyjemność – wyprawa po zakup cyfrowego tunera i czterdziestocalowego telewizora, po które umówił się przedniego dnia w mieście u dealera.

Myślami powrócił do sytuacji sprzed pół roku, gdy o takim dobrobycie nie myślał na serio. Cóż, niezbadane są koleje losu. Siłą rzeczy ciekawiło go, czy Tomasz Barski też zdecydował się na zrealizowanie swego marzenia.

Przed dziesiątą Artur zamówił taksówkę. W podziemnym garażu jego miejsce było jeszcze puste, choć powoli przymierzał się już do zakupu samochodu. Może nawet po południu pojedzie do dealera Opla przyjrzeć się nowej wersji terenowego SUV-a. Wyglądało na to, że i bez specjalnego oszczędzania na koncie pozostanie ze ćwierć miliona złotych. Pomyślał, że Tom aż tak się nie wzbogacił, ale i tak był bardziej niż zadowolony z rozliczenia. W końcu byli najlepszymi kumplami.

Taksówka zawiozła Arta na obszerny plac pod popularnym hipermarketem, gdzie był umówiony w salonie ze sprzętem RTV i reprezentantem dostawcy telewizji cyfrowej. Ledwie wysiadł, zawibrowała komórka w kieszeni kamizelki. Zerknął na ekran, lecz nie pojawił się numer dzwoniącego.

– Tak, słucham – powiedział spokojnym, dźwięcznym głosem.

– Dzień dobry – usłyszał męski głos. – Czy mówię z panem Arturem?

Art nie odpowiedział, postanawiając dać rozmówcy chwilę na zastanowienie.

– Halo? – usłyszał po paru sekundach.

**Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego
wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy
kolejnych naszych publikacjach.**

Wydawnictwo Psychoskok

